



„Stworzenie świata” – spektakl teatru Radwanek (występ w teatrze Grotoska, 2002 r.)

Łączy je to samo imię, pragnienie zmian i apetyt na życie. Anna Dymna i Anna Kościelna spotkały się raz w życiu. Z tym że ta znana aktorka nie wiedziała nic o istnieniu ówczesnej uczennicy liceum, a ta po raz kolejny utwierdziła się w przekonaniu, że warto się sobą dzielić

ANNA ŁOŚ

Wiesio Dymny powtarzał jej ciągle, by panowała nad potrzebą niesienia pomocy w każdej sytuacji, zawsze i wszędzie. Łatwo bowiem przy tym oberwać. Przed laty wracali wieczorem do domu. Szedł przed nimi zataczający się męż-

czynna. Przewrócił się, ona natychmiast pospieszyła z pomocą. Uderzony w głowę, zapytał z wyrzutem: „Co ty mi, k..., zrobiłaś?”. Na szczęście Wiesiek był obok i krewki pijaczyna nie zdążył jej przyłożyć.

Tamten człowiek nie docenił jej gestu. Ale w jej życiu jest wiele osób, które instynktownie wyczuwały tę jej potrzebę. Do teatru przychodzą dziesiątki listów z prośbą o pomoc. Najczęściej o pieniądze, ale też i takie, które zawierają najskrytsze tajemnice i opis cierpienia. Te są chyba dla najważniejsze i najtrudniejsze zarazem.

Anna Dymna, gdyby nie została aktorką, byłaby świetnym psychologiem. To wyraźnie widać w trakcie rozmów z osobami niepełnosprawnymi, które prowadzi już od trzech lat w programie telewizyjnym „Spotkajmy się”. Pragnienie niesienia pomocy zaowocowało także pracą z osobami upośledzonymi umysłowo – łączy w niej teatr i terapię.

Bez Kaina i Abła

Do Radwanka – teatru „muminików” z Fundacji Brata Alberta – trafiła dzięki starej znajomości. Ksiądz Tadeusz Zaleski był jej sąsiadem w słynnej kamienicy przy ulicy Wielopole, zbudowanej w okresie międzywojennym dla pracowników banku. Mieszkała obok siebie: ona – mło-

da żona, on – wówczas kleryk marzący o pracy z niepełnosprawnymi.

Po wielu latach ich znajomość stała się czymś bardzo ważnym. Kiedy pierwszy raz jechała do Radwanowic, bardzo się bała. Nie wiedziała, jak rozmawiać z „takimi” ludźmi. Obawiała się swojej i ich reakcji. Ale „pani z telewizji” została serdecznie przyjęta. Była „ich”, bo nie broniła się przed serdecznymi uściskami. Szybko zrozumiała, że wylewność jest czymś naturalnym w „muminkowym” świecie. Oczywiście, trzeba postawić jej pewne granice, bo żywiołowa serdeczność nieraz naraża na śmiech.

Osoby niepełnosprawne umysłowo są jak dorośli, z którymi czasem trzeba rozmawiać jak z dziećmi. Są tacy sami jak my – potrzebują akceptacji, cieszą się każdym sukcesem. Chcą wiedzieć, jak sprawdzili się na scenie.

– Nam, profesjonalistom, też potrzebna jest ta wiedza – śmieje się, ale nie wypada przyznać się do tego. Anna Dymna opowiada o specyfice pracy z aktorami z Radwanka. Przez trzy lata przygotowali wspólnie – wraz z terapeutami – kilka przedstawień opartych na motywach biblijnych.

Wszystkie cztery: „Stworzenie świata”, „Wynanie Adama i Ewy z raju”, „Arka Noego” i „Wieża Babel”, miały premiery w Teatrze im. Słowackiego podczas festiwalu Albertiana. Z historii biblijnych świadomie opuściła opowieść o Kainie i Ablu, bo „jej” aktorzy nie po-

Dwie

trafią zagrać nienawiści zakończonej zbrodnią.

Historia Noego i ocalonych przed potopem zwierząt czy stworzenie świata doskonale pokazały umiejętności aktorów podopiecznych księdza Zaleskiego. Każdy miał w najmniejszych szczegółach rozpisaną rolę. Także Agnieszka na wózku – zapłakana, bo nie mogła być zwyczajnym kwiatuszkiem. Została więc kwiatuszkiem elektrycznym. Każdy ma swoje miejsce na ziemi i scenie.

– Takiemu aktorowi nie wystarczy sucho powiedzieć: „Masz zagrać drzewo”. On musi wiedzieć, czy to drzewo liściaste, iglaste czy targane wiatrami, żadnej przypadkowości. Podobnie pracował z nami Konrad Swinarski – wspomina. – W „Dziadach”, kiedy byliśmy żebaczkami, doskonale wiedzieliśmy, czy jesteśmy akceptowane, czy też odrzucone przez tłum. Na tym polegała genialność scen zbiorowych w reżyserii Swinarskiego.

Podobnie stara się panować nad swymi, często niemymi, aktorami w Radwanku.

Na wiosnę przygotowuje, bo to przecież Rok Andersena, cudowną historię o przemianie brzydkiego kaczątka w labędzia. Ta baśń wspaniale wpisuje się w historię Radwanka – teatr sprawił, że aktorzy mogą być tam, gdzie wcześniej nawet nie pozwalały im na to marzenia.

Ze świetlicy do wykwintnego świata

Pomysł, by wprowadzić niepełnosprawnych aktorów na scenę Teatru im. Słowackiego, był jej autorstwa. Ksiądz Tadeusz Zaleski nawet w najśmielszych marzeniach nie wyobrażał sobie, by „muminkowaci” aktorzy mogli wystąpić na scenie profesjonalnego teatru. Przez całe lata odbywały się różne przeglądy i zawsze było tak, że miejscami akcji były świetlice terapeutycz-

ne, a publicznością – „muminki” i ich opiekunowie.

– Ale Anna chciała być totalna – śmieje się ksiądz Zaleski.

Ogólnopolski Festiwal Twórczości Teatralno-Muzycznej Osób Niepełnosprawnych to jej ukochane dziecko. Aktorzy niepełnosprawni z Brodnicy, Rudy Śląskiej, Haczowa i wielu innych małych miejscowości po raz pierwszy w życiu mogli odczuć smak tremy za teatralnymi kulisami. Postanowiła ich życie pokazać w świetle jupiterów. Wprowadzić w piękny symbol wykwintnego świata – jak określa Teatr im. Słowackiego.

Wprowadzenie festiwalu do teatru było złamaniem tabu, przekroczeniem granicy ustalonej przez świat ludzi „normalnych”. Anna Dymna żałuje, że tak mało czasu poświęca „swoim” aktorom. Lwią pracę wykonują za nią terapeutki: Jolanta Toboła i Maria Krzystanek. A ona kursuje między teatrem i filmem – stale w rozjazdach. Czasem uda jej się namówić do zaangażowania się w spektakl kogoś z „prawdziwego” teatru – przykładowo: w „Arce Noego” Jerzy Treła swojego pięknego głosu użyczył Panu Bogu.

Choć grupa teatralna liczy prawie 30 osób, przynajmniej drugie tyle zajmuje się szyciem kostiumów i przygotowywaniem dekoracji – to także terapia i praca zespołowa.

Gdy tylko ma chwilę czasu, wpada do Radwanowic „naładować akumulatory”. Ksiądz Tadeusz twierdzi, że jest to podwójna terapia, z korzyścią dla obu stron. Ostatnio Radwanowice stały się jej drugim domem. Odkąd założyła fundację „Mimo wszystko”, często „urzęduje” w starym dworze. W pokoju, który nigdy nie zajmowała Zofia Tetelowska. To jej dar rozpoczął radwanowickie dzieło.

– Podejrzewam, że obie panie świetnie się rozumieją. W każdym razie dobry duch Zofii czuwa nad dziełem Anny – mówi ksiądz Tadeusz.

Pomagajmy tym, którzy o nic nie proszą

Aнна Dymna chętnie opowiada o domu i mamie, która nigdy niczem się nie dziwiła i nikogo nie potępiała. Potrafiła wiele wybaczyć. W każdym widziała dobro, niezależnie od zła, które czynił. Kiedy mamy zabrakło, rozumiała, jak wielkim darem była jej filozofia życiowa i jak wiele jej zawdzięcza. – Po latach zobaczyłam – mówi ze zdziwieniem – że są ludzie, którzy nie mają takich matek jak moja...

W młodości uciekamy od śmierci. Jej się to nie udawało, przeciwnie, wielokrotnie się z nią spotykała. Trzykrotnie walczyła o życie, cudem wychodząc z poważnych wypadków samochodowych. Kiedy leżała wśród ludzi bez nóg i rąk, czuła, że są bardziej godni szacunku i miłości niż ona. Nie użalali się nad sobą, tylko czerpali z życia radość, że jednak są wśród żywych.

Chory terminalnie najbardziej boi się litości. Kiedyś prowadziła długie rozmowy telefoniczne z kobietą umierającą na raka. Nie potrafiła odpowiedzieć na wiele jej pytań. Powtarzała wciąż, że wszystko musi mieć ukryty sens. Nigdy nie wadziła się z Bogiem, bo jest przekonana o mądrości każdego stworzenia. Ludźmi niepełnosprawnymi umysłowo należy się zajmować, bo oni nigdy nas o pomoc nie poproszą. Po prostu nie zdają sobie sprawy z własnego położenia.

Anny

– Trzeba z nimi przebywać, bo wtedy nasz świat pięknieje – mówi z przekonaniem.

Czasem miewa wyrzuty sumienia, że chyba więcej od nich dostaje, niż im sama daje.

Mokra poduszka

Ania Kościelna niewiele pamięta ze spotkań, które zorganizował samorząd szkolny. Anna Dymna odwiedziła VIII Liceum w Krakowie, by odpowiedzieć na pytania uczniów dotyczące kariery, sukcesów i porażek zawodowych. Uczennica II klasy zapamiętała jednak, że pani Dymna opowiadała o swej fascynacji i pracy wśród osób niepełnosprawnych. Mówiła bez cienia egzaltacji, z przekonaniem, że nasz świat byłby o wiele uboższy bez słabych, innych, potrzebujących.

Historia uśmiechniętej Ani to potwierdza. Była w dołku. Nie chce mówić jakim, ale czuła się niepotrzebna i pusta. Szkolna pedagog zaproponowała, by zmieniła swe życie, angażując się w wielkie i małe problemy innych. Pomagając bliźnim, miała pomóc sobie.

Wielokrotnie przechodziła ulicą Długą – trzy schody, długi korytarz, dziecięcy gwar. Ciągłe jednak nie miała odwagi. W końcu szczupła, uśmiechnięta szesnastolatka zdecydowała się: będzie wo-

lontariuszką. Do dzisiaj jest wdzięczna księdzu Tomaszowi Ważnemu z fundacji U Siemachy, że nie zgasił jej zapału. Nie powiedział, że jest za młoda. Wzdług niego była w sam raz dla dzieciaków z „trudnych domów” – ot, starsza siostra. Pamięta doskonale siedmioletnią dziewczynkę, którą wyłowiła z chmury dziecięcych głów. Złapała się jej jak koła ratunkowego i długo opowiadała, jak bardzo boi się nowej sytuacji. Mała, zmniejszając jej strach, opowiedziała jednym tchem o mamie, która ją kocha, ale mówi do niej podniesionym głosem; o tacie niewracającym na noc do domu, często wpadającym w złość. Dziewczynka opowiedziała też o mokrej poduszce, bo przed snem lubi sobie trochę popłakać.

Nie spodziewała się, że jej bezradność może tak otworzyć dziecko.

Prawie każdą rozmowę z podopiecznymi rozpoczyna od pytań o sny. Śnić o czymś to często znak, marzenie o rzeczywistości. Ania instynktownie wyczuwa, że dzieciom potrzeba prostych gestów, odrobiny serdeczności i zainteresowania. Odnosi się do nich tak, jak sama chciałaby być traktowana.

Wie także, że musi zachować dystans w stosunku do tej pracy. Pamięta lzy, gdy dowiedziała się o pobiciu jednego z chłopców przez ojca. Wtedy zrozumiała, że niewiele jest w stanie zmienić. Może z nimi porozmawiać, pokazać im do-

bre postawy zachowań, pomóc w odrabianiu lekcji. Natomiast nie zmieni ich biegu życia. Te dzieciaki mają może więcej agresji, używają brzydkich słów, ale poza tym niczym się nie różnią od tych z tak zwanych dobrych domów.

Trudni rodzice

Anka Kościelna słyszała wiele smutnych dziecięcych historii. W rozmowie jest jednak dyskretna. Nie chce podawać imion, sytuacji, które pomogłyby w identyfikacji jej podopiecznych. – Wolontariusz to profesjonalista, a nie opowiadacz – podkreśla.

Po pewnym czasie zorientowała się, że wielu młodych ludzi chciałoby pomagać. Nie wiedzą jednak, gdzie się udać po kontakt. Wspólnie z koleżanką założyły Klub Aktywności. Napisały prawdziwy projekt i z Fundacji Dzieci i Młodzieży z Warszawy uzyskały sześć tysięcy złotych. Cała suma została wydana na szkolenia przyszłych wolontariuszy z zakresu psychologii i pedagogiki dziecięcej. Kursy skończyło prawie 60 młodych ludzi. Chętnych było jednak więcej. Wtedy też zrozumiała, że jej koledy to nie egoiści nastawieni na „wyścig szczurów”.

Zdarzało się, że problemy stwarzali raczej rodzice potencjalnych wolontariuszy. Pamięta dziewczynę, której mama zabroniła angażować się w pomoc.

– Najważniejsza jest nauka, a poza tym są tysiące organizacji, które zajmują się tym profesjonalnie – argumentowała. – To częsta postawa dorosłych: chronić dzieci przed niedoskonałym światem. Nawet nie wiedzą, jak bardzo je krzywdzą. A przecież życie jest po to, aby go spędzić z innymi.

Anka miała mniej czasu na realizację swej pasji. Uczyla się pilnie do egzaminu dojrzałości i na studia, oczywiście wybrała psychologię. To dzięki niej miała się wiele nauczyć. Choćby tego, by nie tłumaczyć niewiedmomu dziecku, że gra na syntezatorze jest prosta. Wystarczy tylko uderzyć w żółty, czerwony i biały klawisz. Chce spojrzeć na świat oczami tych, którym pomaga.



Anna Dymna w Radwanowicach

EPILOG, czyli życzenia świąteczne

Spotkałyśmy się z Anią Kościelną niedawno. Podobnie jak Annie Dymnej, nie dane jej było studiowanie psychologii. Dwukrotnie zdawała na wymarzone studia, ale bez sukcesu. Kierunek, który w końcu wybrała: zarządzanie kulturą na UJ – jak twierdzi – być może przyda jej się w pracy w jakimś ośrodku dla dzieci zaniebanych. W końcu to także jest kultura, może nie przez duże K, ale tak samo bardzo ważna. Ania Kościelna bardzo żałuje, że na razie studia tak ją pochłonęły, iż nie była U Siemachy. Ale dobrze ją tam wspominają.

Może tam zajrzy. – Albo – uśmiecha się, czytając świąteczne życzenia od Anny Dymnej – pójść do jej fundacji. Bo



Ania Kościelna

mimo wszystko nigdy się nie ma tak mało czasu, by nie znaleźć go dla innych.

Tych parę miłych słów Anna Dymna przesłała przeze mnie Ani Kościelnej, gdy opowiedziałam jej o niej.

Ania Kościelna dzięki dzieciom od Siemachy dziwi się wciąż, że w każdym jest tyle dobra. To wspólna cecha moich bohaterów. I mimo wszystko trzeba im tego zazdrościć.